

Szweykowski, Zygmunt

Anczyc, Jeż i Romanowski jako budziciele ruchu powstańczego przed r. 1863

Przegląd Historyczny 34/2, 641-650

1937-1938

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

Anczyc, Jeż i Romanowski, jako budziciele ruchu powstańczego przed r. 1863

Atmosfera literacka, wiążąca się z genezą powstania styczniowego, nie stanowi odrębnej epoki w dziejach naszej sztuki; nad ideologią bowiem tego ruchu rewolucyjnego zawisła gloria wielkiej literatury romantycznej, która wróciwszy na „ojczyzny łono“, z niesłychaną siłą swej sugestii zaczęła ujarzmić i niewolić dla siebie młode pokolenie. Czar dorobku emigracyjnego, potęga jego wymowy, olbrzymie perspektywy myślowe i uczuciowe okazały się nieodparte, potwierdzając wiarę ich twórców w niezawodną, fatalną moc poezji. Obserwując pokolenie, działające przed powstaniem 63 r., czytając jego wypowiedzi lub wspomnienia, ze zdumieniem wprost stwierdzamy to całkowite zagarnięcie szeregu jednostek przez twórczość romantyczną, która stała się alfą i omegą życia. Bogactwo dorobku tej literatury częstokroć — w odczuciu ówczesnym — realizowało, z góry, a priori wszystkie tęsknoty, pragnienia, plany i zamiary. Szczególnie sprawa narodowa wydawała się tak wszechstronnie przemyślana i przeżyta, że jedynym obowiązkiem, jedyną możliwością stało się dostroić do poziomu, wskazanego przez wielką emigrację: znajdowano tam najistotniejsze rozwiązania, znajdowano oczywiste sposoby pokonywania trudności, znajdowano żywiołową wiarę, znajdowano wreszcie organiczne zespolenie idei narodowej z ideą ogólnoludzką. Ale i dla zainteresowań społecznych pokolenia przedpowstaniowego, dla tego żarliwego demokratyzmu, który tak często wówczas się manifestował, miała literatura romantyczna swoją świetną wymowę: kult przeszłości nie był w niej tak naiwny i ślepy jak w kraju, umiała ona bowiem nie tylko krytykować, lecz nawet bluźgać w oczy szlachcie straszne oskarżenia, czyniąc ją odpowiedzialną za to, że z Polski uczy-

niła pawia i papugę narodów, że doprowadziła ją do kajdanów niewoli. Gama więc możliwości, które wskazywał romantyzm, zdała się wprost nieskończona, jej stanowisko jedyne: najbardziej wartościowe, najbardziej twórcze, najwznioślejsze i najpiękniejsze. Ukorzono się przed nią, uznano za swoją, w wielkich poetach romantycznych widziano wieszczów, przewodników, a gdy ich nie stało, gdy pomarli, wydało się wielu, że wprost byt narodu zachwiał się w swych podstawach:

Odkąd nas owi rzucili wielmożni,
Stoimy w smutku, bez przywódców, trwożni,
Niezdolni lotu do tych niebios czystych... ¹⁾.

Nie myślimy oczywiście twierdzić, że przed r. 1863 krytyki romantyzmu w kraju nie było, ale rzecz znamienita, że ile razy się pojawiała ona w literaturze, zawsze złączona była z rezygnacją z orężnej, natychmiastowej walki o wolność. Natomiast ci twórcy, którzy na to zasadnicze hasło wyrażali swą zgodę — wszyscy pozostawali pod przemożnym wpływem romantyzmu i zależność swą od niego jaskrawo dokumentowali w dziełach. Zależność ta była dwojakiego rodzaju: albo mamy do czynienia z naśladownictwem mniej lub więcej świadomym, bardziej lub mniej udatnym, albo też z dążeniem, by znaleźć swój własny wyraz poetycki, ale w obrębie zasięgu artystycznego i ideowego romantyzmu. To były ambicje najwyższe — ambicje jak widzimy skromne; najczęściej, trzeba to zaznaczyć, wynikały one z braku wybitniejszych indywidualności pisarzy, choć zdarzały się wyjątki, że były one rezultatem instynktownego wyczucia narodowej prawdy, tkwiącej w dziedzictwie wielkich twórców.

Z grupy ówczesnych pisarzy, budzących w społeczeństwie ideały walki o wolność, trzy postacie należy wymienić, bo zarówno najlepiej charakteryzują one czasy ówczesne, jak i w dążeniu do samodzielności okazują najwydatniejsze wysiłki — a należą do nich: Zygmunt Miłkowski (Jeż), Mieczysław Romanowski i Władysław Ludwik Anczyc. Trzeci z nich tworzy swe patriotyczne poematy i wiersze rewolucyjne w Warszawie, drugi działa na terenie Lwowa, pierwszy poza granicami kraju.

Jako indywidualność najbardziej wybitną, jako pisarza, który niewątpliwie miał społeczeństwu najwięcej do powiedzenia należy z tej trójcy postawić na pierwszym miejscu Zygmunta Miłkowskiego. On jeden — wydaje mi się — był najbardziej dojrzały duchowo do ruchu powstańczego zarówno pod względem myślowym jak i uczucio-

¹⁾ Romanowski *Za wieszczami* (1858).

wym; on jeden nie tylko czuł gorąco, ale wiedział dokładnie, czego chciał, on jeden też był odpowiednio przygotowany na wszystko.

Na wszystko... W Jeżu bowiem uderza nas głównie jego niezwykle silna wiara w życie. Przeszedł on klęsk dużo, był świadkiem załamywania się najwznioślejszych przedsięwzięć i idei, a jednak nie tej wiary nie mogło zniszczyć. Była to wiara w doskonalenie się świata, w ostateczny tryumf sprawiedliwości. Jeź wiedział, że ideał ten urzeczywistni się nie zaraz, liczył się z tym, że dopiero daleka przyszłość może go przynieść w dani człowiekowi, ale wierzył nieprzepracie, że do tego przyjść musi, bo taka jest logika życia. Ta wewnętrzna pogoda, nic wspólnego nie mająca z egzaltacją nerwów czy sentymentalizmem, była tylko wyrazem zdrowia duszy, wyrazem żelaznego charakteru, ona też hartowała Miłkowskiego, dawała mu wytrwałość, czyniła go zdolnym do poświęcenia i ofiary. Jeź nie znał ceny, która by mogła człowieka powstrzymać od spełnienia obowiązku wobec życia.

Optymizm Jeża ujawnia się głównie jako wiara w przyszłość narodu.

W powieści *Pierwsze Boże przykazanie* (1861) mamy przedstawioną chwilę, gdy wojska Napoleona cofnęły się z pod Moskwy. Wszystkie wysiłki związane z czynem legionów — zakończyły się klęską. Bohaterka utworu zapytuje jednego z uczestników szeregu kampanii napoleońskich:

„— Panie Stanisławie... wszystko przepadło.

„— Nie, nie!... — odparł spokojnym i pewnym głosem. — Wszystko jest do odzyskania.

„Panna spojrzała nań okiem zdziwionym nieco, popatrzyła na jego twarz poszramioną i chudą, na oko rozcięte, przymkniętą powiekę, na szczudło i uśmiechnęła się.

„— Więc jest nadzieja?

„— Jest pewność!... — odrzekł”.

Co daje tę pewność Miłkowskiemu? Wiara, że narody są nieśmiertelne i że nie ma siły, która by je zniszczyła. Naród może upaść na czas jakiś, ale nigdy nie umiera! Upadek przy tym zawsze jest zawińiony. i Polska tak samo upadła, bo zdradziła swą demokratyczną ideę słowiańską, która była jej misją dziejową. Za to odstępstwo musiała ponieść karę: znikła racja jej niezależnego bytu państwowego. Zaborcy byli tylko narzędziem Opatrzności, która dała im miecz i siłę — dała, ale tylko po to, by naród odrodził się wewnętrznie: „Opatrzność nie uprawnia podbojów: zsyła je na narody jako głód, szarańczę, morowe powietrze, jako plagi i nieszczęścia, ale zarazem daje środki ratowania się, którym za źródło służy pragnienie wolno-

ści" (*Asan*, r. III). Naród, który zaczyna walczyć o wolność, stwierdza, że przychodzi do zdrowia, że chce wrócić do misji własnej, którą ma spełnić wobec ludzkości. Innej drogi nie ma. Dlatego też Miłkowski przeciwstawiał się zdecydowanie polityce ugodowej, polityce kompromisów, polityce jak mówiono „rozsądku“, która uzależnia czyn narodowy od tego, co można, co się uda. Polityka taka, choć opiera się na wiedzy, choć odwołuje się do matematyki, statystyki, geografii, sztuki wojskowej itp. — zawsze musi prowadzić do fatalnych skutków, do rezygnacji. Hasło natomiast „mierz siły na zamiary“ — nie jest według Jeża wyrazem rozegzaltowanego uczucia, lecz jedyną racją stanu, obmyśloną na dalszą metę, jedynie skuteczną. Dla Jeża powstania przeciwko zaborcom były jedynym środkiem dokumentowania praw moralnych do wolności, były odwoływaniem się do sprawiedliwości Bożej, którą aby uzyskać, trzeba zasłużyć krwią, poświęceniem i ofiarą. Czynów zmarnowanych tu być nie może — wszystkie one kształtują duszę narodu, odradzają ją i będą policzone w ostatecznym wyroku życia. „Trzeba tylko, żeby z pokolenia do pokolenia“ przechodziła tradycja walki, a „Polska... będzie“.

Rozumiemy więc, że czując tak, Jeź musiał całą siłą wzywać społeczeństwo do powstania. Żaden wzgląd nie istniał, który by mógł go od tej idei odsunąć, celowość walki była oczywista, na klęskę nie było miejsca.

Takie stanowisko narzuca nam Jeź całą siłą w swych powieściach historycznych pisanych przed 1863 r., będących najlepszym dokumentem atmosfery rewolucyjnej tych czasów. Z propagandą walki o wolność, z propagandą powstania łączą się ściśle dwie powieści z r. 1861: *Pierwsze Boże przykazanie* i *Asan*. Prawda, nie są to rzeczy wykonane, prawda, razi nas ich tendencyjność, razi zbyt schematyczne traktowanie ludzi, razi częste komentarze autorskie, razi niedbałość językowa — ale jednocześnie czujemy, że te nieoszlifowane rudy płoną i goreją wprost prawdą przeżyć i żarem idei, które mimo wszystkich braków, mimo całej szkicowości dają im istotną wagę, a nawet stwarzają zupełnie specjalną ich wymowę artystyczną. Naczelne miejsce zajmuje niewątpliwie *Asan*, którego śmiało można nazwać *Konradem Wallenrodem* 1863 r. Zbieżności ze wspomnianym poematem znajdziemy tu sporo, ale Mickiewicz bynajmniej nie stłumił indywidualności Jeża. Nie mamy tu kopii, ani naiwnego naśladownictwa: bohater Miłkowskiego, choć jak Konrad „szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie“, choć „od wrogów zmuszony“ chwycił się podstępów i zdrady, a nawet do zbrodni doszedł — kocha Bułgarię samodzielnie, jest inny niż Wallenrod, a jego czyny, zmierzające do obalenia greckiego jarzma, wypływają z wła-

snej logiki, która z wymową chwilami wprost przerażającą tłumaczy się w powieści ostro, wyraźnie.

Słusznie Jeż mówi, że bohaterką powieści jest ojczyzna, przy tym ojczyzna najbardziej umiłowana, bo znajdująca się w niewoli. Asan, który najwszechstronniej tę miłość do narodu wciela, uważa za swój jedyny i najwyższy obowiązek, za powinność wprost religijną, dążyć do wyzwolenia ojczyzny. Wielkość obowiązku nie może być uzależniona od możliwości, które wskazuje rozsądek. Możliwości są zawsze — a ludzie nie widzący ich bałamucą siebie lub dają się bałamucić „oszustom i wrogom”. Bałamuctwem tylko, mającym pozory prawdy, są dla Jeża hamulce takiej moralności, która swoją pozorną wzniosłością zmierza do osłabienia wyzwoleniczych dążeń. Asan ciągle te hamulce przekracza, a Miłkowski zawsze go tłumaczy, nie wyrzekając się nawet odwoływania do zasad religijnych. A więc Asan z całą bezwzględnością nienawidzi swych wrogów. Cóż w tym złego? „Ludzkie i ziemskie rzeczy ludzkimi i ziemskimi przeprowadzić należy środkami, które Stwórca oddał pod rozporządzenie woli i rozumu człowieka. Jeżeli chodzi o odparcie napastnika, niosącego niesprawiedliwość, wywracającego moralność, to go trzeba odeprzeć tak silnie i gwałtownie, z jaką on siłą i gwałtownością napastuje. A jeżeli on spełnił niesprawiedliwość i wyrzucił moralność, moralność wcieloną dla nas ludzi w świętą postać ojczyzny, to go trzeba wygnać z całym zapałem nienawiści złego. Tolerowanie złego, słabość, miękkość, pokora są w tym razie śmiertelnym grzechem”.

Nienawiść swą Asan kierował nie tylko do Greków ale i do Bułgarów ugodowców: wyższe warstwy Bułgarii poddały się zaborcom i o wyzwoleniu ojczyzny przestały myśleć. Asan na próżno wyjaśniał im swe racje — nikt nie chciał uznać słuszności jego stanowiska. Wśród sfery, w której żył, był zupełnie osamotniony. Niestety i ludu nie mógł dla swej idei pociągnąć, gdyż zaborcy i tę warstwę potrafili obałamucić. Cóż więc Asan miał czynić? O ugięciu się wobec woli powszechnej i rezygnacji nawet słyszeć nie chciał. Postanowił iść na przekór wszystkim i spełnić swój obowiązek — ale pozostawał mu tylko podstęp i to zarówno w stosunku do wroga jak i własnego kraju. Podstęp Asana polega na dwóch kwestiach: 1-o na zainscenizowaniu cudu, oraz 2-o na zmuszeniu swego przyszłego teścia — ugodowca, mającego powszechny szacunek w społeczeństwie — do wypowiedzenia się za powstaniem. Pierwszą myśl realizuje on w ten sposób, że wykrada potajemnie z Konstantynopola obraz świętego Dymitra i przynosi go do Trnowy, budząc w ludzie przeświadczenie, że stał się cud — pomysł drugi przeprowadza za pomocą środka strasznego i okrutnego. Podpala ze wszystkich stron pałac Sursuwuły tak, aby na-

rzeczona jego i jej ojciec wyjść nie mogli. Sursuwuła i Maria (ze sztandarem Bułgarii) ukazali się na krużganku płonącego pałacu, klękli i zaczęli się modlić; starzec przed śmiercią pobłogosławił lud, Maria pokazywała ręką na greckie fortece. Asan skorzystał z tego momentu, aby wmówić Bułgarom, że to Grecy podpalili pałac, a ostatni gest Sursuwuły wytłumaczył jako pobudkę do powstania. Taki był początek walk o wyzwolenie, które też zakończyły się zwycięstwem Bułgarii. Otóż Jeż nie ma żadnych zastrzeżeń co do czynów Asana, o czym wyraźnie w zakończeniu powieści mówi:

„Co do pierwszego. Cała niemoralność obejścia się z cudotwórcą spada na Greków, którzy systematycznym wszczepianiem w duszę bułgarskiego ludu niemoralności, ciągłym psuciem go i upadaniem uniemożliwili podniesienie go moralnymi środkami“.

Sprawa druga wydaje się jeszcze bardziej drastyczna, ale i tutaj stanowisko Jeża jest zdecydowane: „Mnie się zdaje — czytamy — że nie masz dość wielkiej ani dość drogiej ofiary [gdym chodzi o ojczyznę]. Asan poświęcił teścia i narzeczoną, ale zdobył greckie twierdze. Ja myślę, że gdyby Sursuwuła wiedział z góry o następstwach, to, albo zmieniłby swoje zasady i całą swoją potęgą poparł Bułgarów, albo gdyby się o zasadach przeświadczył, że one są silniejsze od jego poglądów, to sam by dobrowolnie w ogień skoczył. Sursuwułowiem byli straszną plagą. Przez nich wsączał się jad, trujący żywotne soki narodu. Z nimi „prośby, płacze — nie pomogły“. Asanowi nie pozostawało nic innego, tylko ich spalić“.

Drakońska to etyka — ale znamienita dla bezkompromisowości Jeża, dla jego patriotyzmu wprost żywiołowego i dla atmosfery przed powstaniem stycznym. Asan to — powtarzam — dokument czasów.

Wartości takich nie możemy niestety przypisać poematom historycznym Romanowskiego. Wprawdzie jego *Dziewczę z Sącza* uchodziło do ostatnich niemal chwil za jeden z klejnotów naszej literatury, ale zdaje się, że na sądy takie wpłynął głównie sentyment do tematu nie zaś spokojna ocena oblicza artystycznego tego poematu jak i innych. Są to rzeczy nie dojrzałe, zatraćające wyraźnie o epigonizm: uderza nas pięcie się za wszelką cenę na koturny tragiczne według wzorów romantycznych, uderza sztuczne dramatyzowanie, poza i niewłaściwości stylu²⁾.

2) *Dziewczę z Sącza* ma niewątpliwie dwie zalety: 1-o: nowość tematu. Po raz pierwszy w epice historycznej pojawił się tu świat mieszczański, nie tylko fragmentarycznie (Kraszewski, Magnuszewski), ale jako środowisko jedyne, w którym od początku do końca rozgrywa się akcja utworu. 2-o: budowa poematu, odznaczająca się zwartością i dramatycznym wyrazem. Romanowski organicznie

Ale bo też nie te utwory będą stanowiły o miejscu Romanowskiego w literaturze polskiej, lecz wiersze liryczne. W nich poeta umiał zdobyć się na cenną wartość: prostotę; w nich też ujawniła się wyjątkowo konsekwentna i piękna postać poety. O wyzwoleniu się z pod wpływów romantyzmu nie ma tu oczywiście mowy: ideologia jest ta sama, obrazowanie i rytmika często zbliżone — lecz elementy te nabierają innego oświetlenia i brzmia inaczej przez to, że Romanowski — w przeciwieństwie zupełnym do metody, którą stosował w poematach — sprowadził je na ziemię z niebosiężnych wyżyn, z wzniosłych koturnów i niezwykłości dekoracyjnej. Stały się one dla niego rzeczywistością każdego dnia, który nastrojał na ton oczekiwania jednej jedynej chwili, wyruszenia do walki za wolność. Ta chwila wydawała mu się główną racją jego bytu, jego zjawienia się na świecie, ona miała dać wyzwolenie do orlego lotu jemu i narodowi, a zarazem być piorunem niszczącym niewolę i zło. Motyw orła i motyw pioruna przewijają się w liryce patriotycznej Romanowskiego z dziwną stałością, jako nić przewodnia niemal każdego wiersza, niezależnie od tego, czy będzie miał on charakter bojowej pobudki, czy modlitwy błagalnej, czy uderzy w majestatyczny ton hymnu, lub w smutne akordy elegii. Dzień dzisiejszy, sam w sobie, czy sam dla siebie nigdy go nie zadowalał — poeta czekał i gotował się wewnątrz, by stanąć godnie, gdy chwila decydująca nadejdzie. Do tego wzywał też współczesne mu pokolenie:

powiązał poszczególne wątki akcji z sobą i splątał je w ten sposób, że zmiierzają one z jakąś koniecznością do nieuchronnej katastrofy. Na tym jednak kończą się plusy, a zaczynają poważne minusy: Romanowski wprowadza wprawdzie świat mieszczański, lecz niestety nie umie nic o nim charakterystycznego powiedzieć. To środowisko nie ma zupełnie realistycznego oblicza. Poza kilkoma mało znaczącymi cechami ogólnikowymi (scena w karczmie) wszystko tonie w sferze konwencjonalnej, literackiej, rażącej swą sztucznością i brakiem prostoty: koturn, egzaltacja wydają się poecie najwłaściwszą metodą w odmalowywaniu ludzi i ich przeżyć. Stolarz Bartek, zakochany w Basi, urasta do najbardziej rozegzaltowanego romantycznego kochanka. Nieszczęśliwa miłość zaślania mu cały świat: „Ha, pomyśl dziewczę, czym to ja się stałem! Gdzie moja młodość? na tęsknocie znika! I już sąsiedzi mają mnie za dzika. — A to przez ciebie wszystko — och!” Każdy z zakochanych młodych bohaterów romantycznych podpisałby się pod tymi słowami. Każdy też — jak Bartek — rzucał na ukochaną gromami potępienia, gdy nie odwzajemniała się mu ona i każdy groził śmiercią. Może tylko nie czynił tego w sposób tak nieudolny jak bohater Romanowskiego („Kiedyś porwę mą siostrę, w pół nią rozplątam moje piersi szczere i wydrę serce; a ty patrz do woli, jak ono kocha ciebie, a jak boli, co krwi spalonej z niego już wyciekło, i umrę... Basiu! — Basiu, pójdę w piekło!”). Bartek też, jak każdy prawy marzyciel romantyczny, widuje na brzegu Dunajca topielice, które wyskakują w płasach z wody i zaczynają — jak mówi Romanowski — „ku niemu latać jak gołąbki” oraz zdrad-

Stójmyż gotowi, jak straż czuwająca,
 Bo nikt nie powie,
 W który dzień trąba zawezwie nas grzmiąca
 Matce nieść zdrowie!
 A wówczas, jak piorun, co kruszy i pali,
 W bój lećmy zwyciężać z nadzieją na stali,
 Lub gińmy szlachetni ³⁾.

Poeta dorósł i do pierwszego i do drugiego rozwiązania. Marzył o tym, jak to po zwycięskiej walce, będzie mógł z pałasza skrwawionego, on, swobodny już oracz, uczynić pług (*Kiedyż?*, 1856), ale częściej jeszcze widział przed sobą śmierć na polu walki. Ze śmiercią zżył się dziwnie blisko, i stawała ona przed nim zawsze w postaci słodko zadumanej dziewicy, dorównującej pięknym posągom greckim. Gdy przychodziła, mówił do niej stale:

Czekaj jeszcze, piękny cieniu biały
 I na polu bitwy o mnie spytaj ⁴⁾.

Liryka Romanowskiego dzięki prostocie swej formy, dzięki hasłom rzetelnym a nieskomplikowanym myślowo miała poważny odźwięk wśród młodzieży ówczesnej, budząc siłę uczuć narodowych i moralną odpowiedzialność jednostki wobec ogółu, ale nie mogła ona zaspokoić wszystkich potrzeb. Mimo bowiem, że często miała charakter programowy i wybitnie aktualny, była zbyt osobista i za mało efektowna, aby stać się powszechną, aby być pobudką, wezwa-

nie nęcić, by skoczył w fale! Bartek znów w scenie w karczmie, gdy wygłasza ty-rady patriotyczne, niepotrzebnie zgrywa się w patetycznych wybuchach, przypominając w tym Kordiana. Ale u Słowackiego ma to swoje usprawiedliwienie psychologiczne, którego w *Dziewczęciu* brak.

Podobne zupełnie niedociągnięcia w odtwarzaniu zjawisk psychologicznych dostrzeżemy w Basi i jej miłości. Zachowanie się bohaterki utworu po powrocie ze schadzki, jej wizje czy halucynacje, jej szal i opętanie, a później egzorcyzmy wyprawiane nad nią przez Jacka — wszystko to przykro razi swym naiwnym prymitywizmem, nieudolnością stylizacyjną, brakiem logiki i brakiem celu. Pojawienie się tych motywów wyjaśnić można wyłącznie wpływem literackim: oto Romanowskiemu przypomniała się Kornelia Krasińskiego i naśladuje tę kreację, nie czując całej niewłaściwości swego kroku i niekonsekwencji, które się tutaj nasuwają. I tak niestety jest w całym poemacie, w którym ciągle musimy zaczepiać logikę autora. W sumie *Dziewczę z Szcza* to pozycja bardzo skromna i nikła, nie przynosząca Romanowskiemu specjalnego zaszczytu.

Podobne uwagi można by zrobić i w stosunku do *Łużeckich*; tu znów spustoszenia poczynił wpływ Słowackiego, Byrona, oraz ambicja Romanowskiego, by do poematu wprowadzić ton fantastyczno-legendowy, z którym poeta zupełnie nie może sobie dać rady.

³⁾ *Hymn polski* (1860).

⁴⁾ *Nowa znajomość*, 1858 r.

niem, aby wyrażać zbiorowy nurt uczuciowy. Tu trzeba było gestu odpowiedniego, właściwego patosu i bojowego rytmu, który by odtworzył pulsowanie krwi tych czasów. O to właśnie pokusił się z powodzeniem Anczyc.

„O Sparto, ruń, nim doznasz strasznej doli,
Nim zwiędnie laur, co tkwił na czole twem,
Nim syny tve przywdzieją strój niewoli —
Upadnij w gruz i hańbę przykryj nim!

O Sparto, ruń, zanim ślad twój w alkoi,
Naddziadów grób messeński zburzy młot
I na żer psom rozwlecze święte kości,
A przodków cień odpędzi od twych wrót!

Ty ludu, nim wróg w pętach cię powlecze,
Ojców twych broń na progach domów złam
I w przepaść rzuć! Niech nie wie świat, że miecze
Były wśród was — a serca brakło wam...“.

Tak wołał Anczyc w swym poemacie *Tyrteusz*, a jak stwierdzają współcześni, młodzież, przygotowująca powstanie, z żarem powtarzała płomienne słowa pieśni wieszczka ateńskiego. Pieśń Tyrteusza stała się dla rewolucji styczniowej tym, czym pieśń Wajdeloty była dla roku 30. Jest w tym poemacie żywa łączność z życiem, jest prawdziwa wzniosłość, właściwy koturn i patos, są świetne gesty, bardzo efektowne sytuacje, jest wreszcie ton bohaterskiej legendy. Anczyc nie tylko osnuwa swój poemat na motywie: lepiej umrzeć niż żyć podle, ale ukazuje radosny moment zwycięskiej walki o wolność, w której poeta Tyrteusz składa ofiarnie swe życie. Poemat Anczyca wprawdzie nie może pretendować do miana wielkiej sztuki — nie wychodzi w nim poeta poza gest nieco teatralny, a przy tym oryginalność jego nie jest zbyt wielka — ale w dorobku literackim przed rokiem 1863 to pozycja jedna z najważniejszych i najbardziej znamienych. Inne utwory Anczyca z tego działu do *Tyrteusza* nie dorastają: ani *Uczta Wyzwoleńca*, poemat zupełnie nikły i nieudany w problematyce⁵⁾,

⁵⁾ Obraz świata rozkładającego się Rzymu jest tu — można powiedzieć wariantem *Irydiona*: takie samo przeciwstawienie Hellady Romie, analogiczne obrazy, identyczne nastroje, ba, nawet i motyw zemsty. Motyw ten jest tylko w przykry sposób wypaczony, bo pochodzi od człowieka, który do zemsty żadnych moralnych uprawnień nie ma. Jest nim Filen, wyzwoleniec cezara, syn niewolnicy z Etiopii, który wybiwszy się niezwykłą siłą z pośród gladiatorów na plan pierwszy, zyskał

ani nawet wiersze patriotyczne pisane podczas powstania: wśród nich jeden tylko znamienity wyjątek: pieśń *Hej strzelcy wraz* — pieśń, którą można nazwać jakby Warszawianką roku 1863.

To już będzie wszystko — jak powiedziałem na początku — dorobek skromny, ma on jednak niewątpliwie swe znaczenie: jest znamieniem czasów.

W omówionych utworach czujemy inną atmosferę moralną, od tej, jaką nam dała poezja przed rokiem 1830-tym. Jest tu jakaś determinacja pełna siły i grozy, jest zaciekłość w dążeniu, straszliwa nienawiść wroga, jest tragiczne rozdarcie społeczeństwa na dwa zwalczające się obozy. Czasy stały się bardziej ponure, bardziej odpowiedzialne i nie znoszące kompromisów. Albo zguba i zatracenie — albo walka i wolność. Poezja powstania styczniowego narzuca nam sugestię — jak stwierdził Romanowski — że znajdujemy się przed nieuchronną burzą żywiołów. Nie czas tu na skomplikowane przeżycia psychiczne, nie czas na literackie ambicje i estetyczne dociekania. Groza nadchodziła z fatalistyczną siłą, a odpowiedzią mógł być tylko czyn. I właśnie ta zdolność do czynu, ta gotowość przelania krwi, gotowość na śmierć męczeńską, tak zdecydowana i tak prosta, tak oczywista i tak jasna uderza z tych skromnych kartek dorobku literackiego budzicieli ruchu powstańczego, dając przeświadczenie, że mamy do czynienia ze zjawiskiem wyjątkowej wzniosłości moralnej.

łaski cesara i wreszcie całkowicie nim zawładnął. Choć ma wszystko, mści się na rzymskich patrycjuszach za dawne zniewagi. Jest to zemsta na pozór obłąkowanego dzikiego zwierzęcia, istoty zwyrodniałej, tępej, choć przebiegłej. Anczyc jednak chce na gwałt chwilami nadawać mu jakąś misję dziejową do spełnienia i wychodzi z roli; gdy Filen woła: „Wieki już czekam tej szczęsnej godziny, bym się wręcz z rzymskim senatorem ścinał i za zgłodzonych niewolników roje, zhańbione matki, wydarte im syny, za wieki cierpień, rozpacz, niedoli, za wszystkie Rzymu łupiestwa, rozboje — choć raz krwi waszej nachleptał dowoli!” — to czujemy, że słowa takie właściwe byłyby Irydionowi, nie zaś bohaterowi Anczycy.